

OBCY WE WŁASNYM MIEŚCIE

Tuż przed wojną mieli po dziewięć, dziesięć lat. Cieszyli się dzieciństwem. Dziewczynki lalkom powierzały swoje tajemnice i w akcie odwagi przymierzały mamy pantofle. Chłopcy grali w piłkę, czasem bawili się w wojnę i strzelali z drewnianych patyków. Dziś są po siedemdziesiątce, mówią piękną przedwojenną polszczyzną – zarówno ci, którzy nie wyjechali z kraju, jak i ci, którzy spędzili wiele powojennych lat poza Polską. W pomarszczonych twarzach mają zakodowaną przeszłość. Także w przestraszonych oczach, odruchach, zwłaszcza gdy opowiadają o swoich dramatach z czasu wojny, kiedy z dnia na dzień stali się obcymi w swoich miejscowościach.

Obrzezany Polak

Jan Karpiński przez sześć lat był ukrywany przed Niemcami przez nieznaną mu rodzinę. Po wojnie kilkanaście lat spędził w Szwecji. Dziś znów mieszka w Polsce, w pięknym domu położonym na skraju Puszczy Kampinoskiej.

– Jestem obrzezanym Polakiem – podkreśla z naciskiem. Choć należy do Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu” w Polsce, nie do końca jest przekonany, czy utożsamia się ze społecznością żydowską.

Gdy wybuchła wojna, mieszkał w Krakowie. Miał dziesięć lat i nazywał się Jan Klappe. I jedynie to nazwisko, jak podkreśla, mogło sugerować „niepolskość” jego pochodzenia.

Janek uwielbiał Kraków, włączył z rodzicami po Starym Mieście, wizyty na Wawelu, wpatrywanie się godzinami w ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim i lody, które były inne na Grodzkiej, a inne na Kleparzu.

Chodził do prywatnej szkoły obok redakcji „Ilustrowanego Kuriera Porannego”. Zatrzymywał się tam codziennie, by na jedynej świetlnej tablicy w Krakowie przeczytać wiadomości z kraju i ze świata. Zajmowało mu to dobre pół godziny, a czasem więcej, kiedy pisali o sporcie. Kupował co tydzień „Karuzelę”, żeby śledzić losy swoich bohaterów: Pata i Pataszona. W szkole chodził na religię „katolicką, a nie mojżeszową”.

Ojciec Janka pracował jako inżynier w Solvayu. Matka zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci. Oboje czuli się Polakami. Wprawdzie rodzice Janka utrzymywali kontakt ze swoją żydowską rodziną, ale ani nie znali języka jidysz, ani nie pielęgnowali żydowskiej kultury. Choć byli ateistami, to jednak nie zniechęcali Janka do lekcji religii. Na Boże Narodzenie ubierali choinkę i chodzili na Pasterkę. A na Wielkanoc święcili potrawy.

Matka wyjechała z trzema synami do Lwowa 3 września 1939 r. Ojciec musiał zostać w fabryce. Z najazdu Sowieców na Polskę Janek niewiele pamięta. – Czułem nienormalność, bo choć biegaliśmy po parku Stryjeńskim z sowieckimi rówieśnikami, to bawiąc się w wojnę, po prostu biliśmy ich. Do dziś pamiętam, że uważaliśmy ich za okupantów. Przedostatniego dnia okupacji sowieckiej załadowano nas z całą rodziną do transportu na Syberię, bo jak się wtedy mówiło: „byliśmy obcy klasowo”. Zostaliśmy jednak wykupieni przez rodzinę – opowiada Jan Karpiński.

W kilka dni po wejściu Niemców do Lwowa, jeszcze w czerwcu 1941 r., Niemcy zabrali z domu matkę i jej średniego, szesnastoletniego syna. – Nie czułem grozy. Drugi brat, który był już dorosłym mężczyzną, przypuszczał, że wzięto ich do kopania rowów – wspomina Jan Karpiński. – Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że zostali rozstrzelani następnego dnia. Zostałem pod opieką starszego brata i wkrótce zaczęliśmy się ukrywać u jakichś polskich znajomych. Zupełnie nie pamiętam, jak się nazywali. Może potrafiłbym wskazać ten dom. We Lwowie nie pozostaliśmy jednak długo. Wprawdzie mieliśmy tu znajomych, ale to nie było nasze miasto. Na Boże Narodzenie wróciliśmy do Krakowa – dodaje.



Fot. M. Wyrwich

Jan Karpiński

W Krakowie okazało się, że ich duże, kilkupokojowe mieszkanie w centrum miasta zostało zajęte przez Niemców. Ojciec musiał zamieszkać w getcie. Braci przygarbna była niania Kazia, która miała niewielki dom w Borku Fałęckim. Janek czasem przekradał się do ojca w getcie, mimo że nie było to bezpieczne. – Czułem się odrzucony, jakby czymś zupełnie niepotrzebnym... Do dziś pamiętam to straszne odrzucenie. Miałem potworny żal do murów, do ludzi... Nie mogłem uwierzyć, że oto moje ulubione miasto stało się dla mnie zagrożeniem. Że jestem obcym we własnym mieście. Czułem też strach moich znajomych, z którymi się spotykałem, wychodząc z domu niani Kazi – rówieśników czy ich rodziców. Na Boże Narodzenie 1942 r. odwiedziłem ojca. Przeżyłem wtedy chwile największej rozpaczki. Ale nie płakałem. Nie chciałem ojcu robić przykrości, bo wiedziałem, że on nie może stamtąd wyjść, a ja tak. Staliśmy w Wigilię w getcie za drutami i patrzyliśmy na choinkę na Rynku Podgórskim. Chyba nigdy w życiu już później nie czułem się tak samotny jak wtedy. Taki napiętnowany tym drutem kolczastym. Napiętnowany, całkowicie samotny. Nagle zrozumiałem, co to znaczy obrzezanie – opowiada ze łzami w oczach Karpiński.

Jakiś czas później Niemcy wyrzucili ojca Janka z pracy w Solvayu i zamknęli w obozie, mimo że miał „dobre papiery”. Po kilku miesiącach, jak się później chłopiec dowiedział, ojciec został zamordowany. Niedługo potem aresztowano najstarszego brata. Sąsiedzi zaczęli się bać, że Janek, który bawił się z ich dziećmi, może ściągnąć na nich represje Niemców. Chłopak przeniósł się do getta.

– Przez kilka tygodni chodziłem w getcie z białą opaską i niebieską gwiazdą, sprzedając papierosy. Nie było źle, bo niania Kazia podrzucała mi jedzenie. W połowie marca 1943 r. Niemcy zaczęli likwidować getto. Ludzi wyprowadzano szóstkami do obozu w Płaszowie. Na rozkaz Niemców Polacy wywozili furmankami różne rzeczy. Jeden z nich – pewnie to załatwiła Kazia, a może spontanicznie – ukrył mnie pod jakimiś pierzynami i byłem za gettem. Dostałem, chyba od Kazi, a może od wujka, adres do niejakiego Piątkowskiego,

mieszkającego przy Odolańskiej w Warszawie. Szczęśliwie dojechałem nocnym pociągiem na Dworzec Główny. Ale tam wypatrzyli mnie szmalcownicy. Zrewidowali mnie, a że nie miałem żadnych pieniędzy, więc zaprowadzili na policję granatową. Ale policjanci mnie wypuścili – wspomina.

Janek bez trudu trafił na Odolańską. Tam, w domu polskiej rodziny, ukrywało się już kilkanaścioro Żydów. Spotkał nawet swoją kuzynkę z Krakowa. W następnym tygodniu znów ktoś przybył. Po dwóch tygodniach Janek rozpoczął wędrówkę po warszawskich adresach. Był „przerzucany” nocą z adresu na adres, z dzielnicy do dzielnicy. Mieszkał w cudzych mieszkaniach od kilku tygodni do kilku miesięcy. Jakaś niewidzialna ręka decydowała, gdzie będzie tym razem „rezydował”. Choć był zmęczony tymi ciągłymi przenosinami, cieszył się, że nie mieszka w jakiejś komórce, z której mógłby wychodzić tylko nocami. Starał się jednak nie oddalać od swoich „kryjówek”, żeby w razie jakiegokolwiek zagrożenia móc szybko trafić we właściwe miejsce.

– Do wybuchu Powstania Warszawskiego ukrywałem się pod kilkunastoma adresami. Nie pamiętam nazwisk ludzi, u których mieszkałem. Kto by pytał o nazwiska... W razie wpadki to byłoby wielkie zagrożenie. Znałem ich imiona, nie wiem zresztą, czy prawdziwe. Przez jakiś czas mieszkałem m.in. w domu dziecka. Nauczycielka trzymała mnie w pokoju. Nie mogłem podchodzić do okna i było mi smutno, kiedy dzieci grały na boisku w piłkę. Stamtąd trafiłem do hotelu „na godziny”. Tam zresztą chyba ukrywali się też nie tylko Żydzi, ale i jacyś Polacy. W końcu trafiłem na pl. Napoleona, gdzie poznałem swoją przyszłą żonę. Pracowała z matką jako sprzątaczką w domu przy Sienkiewicza 2. Te kobiety przechowywały tam kilkunastu Żydów, niemalże pod okiem Niemców pracujących na pobliskiej Poczcie Głównej. I właśnie na Sienkiewicza zastało mnie Powstanie Warszawskie. Należałem do Oddziałów Pomocniczych Powstania Warszawskiego i gasiłem domy na Mazowieckiej. Po Powstaniu postanowiliśmy, z rodziną mojej przyszłej żony i grupą Żydów, nie wychodzić z Warszawy. Nie ufaliśmy Niemcom, choć moglibyśmy dostać od AK papiery, że walczyliśmy. Dalej ukrywaliśmy się w piwnicach. Już nie w Śródmieściu, ale niedaleko. W piwnicy znaleźliśmy ogromne zasoby fasoli. I to nam bardzo pomogło. Zdaje się, że 17 stycznia zauważyłem pierwszego polskiego żołnierza. Pięć dni później poszedłem do Komitetu Żydowskiego. Powiedziano mi: „Jedziesz do Palestyny. Do swojego kraju”. Odpowiedziałem: „Mój kraj to Polska” – kończy swą opowieść Jan Karpiński.

Ciemnooka blondynka

Danuta Lis, o panińskim nazwisku Szmeler, przed wojną mieszkała we Lwowie. Jej ojciec był właścicielem firmy konfekcyjnej. Kiedy Sowietci rozpoczęli okupację Lwowa, był poszukiwany przez kilka dni. Okazało się jednak, że za grube pieniądze udało się go wybronić przed więzieniem. A Niemcy, którzy wkroczyli do Lwowa w 1941 r., wyrzucili ich z rodzinnej kamienicy. Rodzina wybudowała ją na rok przed wojną. Musieli teraz zamieszkać w dzielnicy żydowskiej.

– Byłam zupełnie niepodobna do Żydówki. Miałam jasne długie warkoczki. Matka uczyła mnie niemieckiego od dziecka, więc mówiłam całkiem biegle w tym języku. Ojciec załatwił mi aryjskie papiery – opowiada Danuta Lis. – Jakiś czas byłam z rodzicami w getcie. Robili walonki w niemieckiej fabryce. Mieli karty, które upoważniały ich do pobytu poza gettem. Kiedy wiedzieli, że Niemcy będą przeprowadzać w getcie łapanki, wyprowadzali mnie na aryjską stronę i ukrywali u polskich znajomych. Było mi smutno, czasem więc uciekałam do rodziców. Pewnego dnia, w 1943 r., była łapanka na dzieci i starców. W przerwie tej akcji

zjawiłam się w getcie. Rodzicie niemal zamarli z przerażenia. W pokoju, w którym mieszkali, stał stół z długim obrusem. Ojciec mnie tam wepchnął. Niemcy rabowali mieszkanie, byli więc zaafetowani i nie zauważyli mnie. Któryś z nich wprawdzie zaświecił pod stół latarką, lecz ojciec natychmiast odwrócił jego uwagę. Wyjmując sprzężyny do ćwiczeń, zapytał, czy nie chce tego. Kiedy wyszli, ojciec nocą zaprowadził mnie do swojej fabryki za olbrzymią ścianę z walonek, gdzie ukrywało się kilkunastu Żydów. Była tam też rodzina z małym dzieckiem. Zostało ono zaduszone, ponieważ wrzeszczało i stanowiło zagrożenie dla innych. Podawano nam tylko wodę. Po dziesięciu dniach rodzice wyprowadzili mnie stamtąd i zakazali mi przychodzić do getta. Mamy już nigdy nie zobaczyłam. Wzięto ją do obozu i tam zginęła. Tatę widziałam ostatni raz, gdy sprzątał ulicę przed wywózką do Warszawy. Uśmiechnęliśmy się do siebie – mówi Danuta Lis.

Danusia mieszkała u przyjaciół ojca. Jak podkreśla, nie ukrywała się, bo miała aryjskie papiery i blond włosy. Ale świadomość, że jest Żydówką, kazała jej wciąż bacznie się rozglądać, czy nie zostanie przypadkowo rozpoznana przez jakiegoś Niemca, na przykład podczas łapanek. Pewnego dnia dostała informację od polskich opiekunów, że ma odwiedzić rodzinę w Warszawie. – Przywiózł mnie ze Lwowa Żyd ze Śląska, który transportował Żydów za pieniądze. Jak się okazało po wojnie, był typem spod ciemnej gwiazdy. „Sprzedawał” Żydów Niemcom. Po wojnie został osadzony na Montelupich i tam skazany na śmierć. Nie wiem czemu, ale mnie nie zadenuncjował. Z krewnymi się nie spotkałam, bo w getcie rozpoczęło się właśnie powstanie. Przez znajomych rodziców, których adres miałam zaszyty w płaszczu, trafiłam do polskiej rodziny w Konstancinie, która już ukrywała kilkanaścioro żydowskich dzieci – opowiada dalej pani Danuta.

W Konstancinie ukrywała się przez kilka miesięcy. Musiała siedzieć w pokoju. Pozwalano jej wychodzić tylko w nocy. Buntowała się, bo czuła się „aryjką” z blond włosami. Pewnego dnia, latem 1944 r., uciekła z kryjówki. Wieczorem wsiadła do nocnego pociągu jadącego do Lwowa. Była zdesperowana, zmęczona, głodna i przestraszona. Kiedy więc nad ranem dotarła do Lwowa, było jej już wszystko jedno. Poszła do parku Stryjeńskiego, gdzie wówczas znajdowała się swego rodzaju sypialnia dla bezdomnych. Na trawnikach i ławkach koczowało kilkaset osób. Siadła na ławce i przysnęła. Obudziło ją ostre słońce.

– Miałam jeszcze trochę pieniędzy, chciałam kupić jakąś bułkę, poszukać wody, jakoś się ogarnąć. Niewiele uszłam i spotkałam swojego anioła – wspomina Danuta Lis. – Był ode mnie o siedem lat starszy. Sprzedawał ciastka, ale to była tylko przykrywka dla jego działalności w AK. Uśmiechnął się: „Niech panienska kupi ciastka”. Odpowiedziałam: „Nie lubię ciastek”. A on na to: „To proszę się poczęstować”.



Danuta Lis

Fot. M. Wyrwich

Z pewnym ociąganiem, ale wzięłam. Przedstawił się: „Damian jestem. Może jakoś panience pomóc?”

Danusia trochę mu nakłamała: że jest Polką z innego miasta i ma skończone szesnaście lat. Ale powiedziała też prawdę, że rodzice nie żyją i nie ma gdzie się podziać. A on, niewiele pytając, umieścił ją w polskiej rodzinie. Odwiedzał ją. Przynosił dla niej takie jedzenie, którego od kilku lat już nie widziała. I zaraz po wejściu Rosjan do Lwowa zaproponował jej wyjazd do Warszawy.

– Wiedział, że jestem Żydówką. Wiedział, skąd pochodzę i wiele innych rzeczy o naszej rodzinie. Nie zmyliły go te moje „nordyckie” warkocze. Zaopiekował się mną i okazał mi tyle ciepła i serdeczności. Kilka miesięcy później poprosił mnie o rękę. Miałam zaledwie czternaście lat. Ale bałam się przyznać. Myślałam, że jak dowie się, ile mam tak naprawdę, to mnie porzuci.

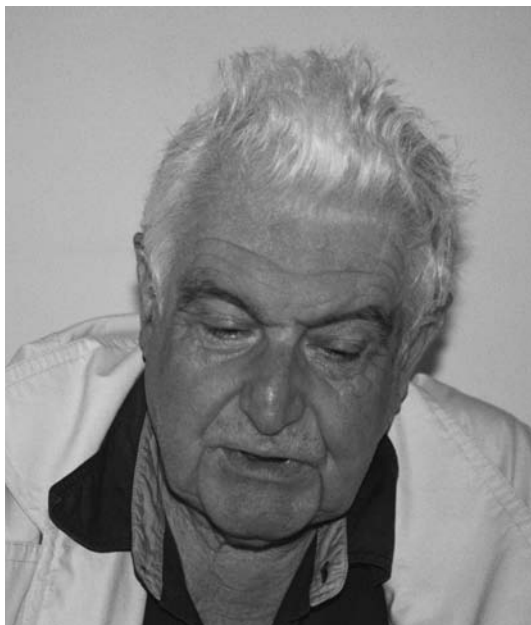
„Ale ja pana nie kocham” powiedziałam. On jednak nie dał za wygraną i powiedział: „To się panienska przyzwyczai”.

– Tak naprawdę byłam w nim zakochana – wspomina. – Przeżyliśmy wspólnie wiele lat. Po wojnie wyjechaliśmy z Polski. Ale ja wciąż bardzo przeżywałam to, co się działo w czasie okupacji. Kiedy Damian wychodził z domu, uważałam, że mnie zostawił. Robiłam mu z tego powodu awantury. Stawałam w oknie i patrzyłam za nim godzinami. Nic nie robiłam, tylko czekałam, kiedy będzie wracał. Byłam bardzo dokuczliwa. Budziłam się z krzykiem w nocy. Śniło mi się, że ludzie są prowadzeni na egzekucję. Słyszałam strzały. Damian radził się lekarzy, jak mi pomóc. Powiedzieli mu, że muszę doznać jakiegoś szoku. I tak się stało: moim szokiem było urodzenie syna. Kiedy jednak zostałam matką, Damian przestał się dla mnie liczyć. Powoli nasze małżeństwo rozpadało się, aż się rozwiedliśmy. Dziś już nie żyje. Ale mam wspaniałego syna i fantastyczną wnuczkę. Polonistkę pracującą w Wiedniu.

– Owszem, czasem spotykam się z „dziećmi Holocaustu”, ale to na mnie źle działa. Kiedy jest jakiś film o okupacji, to wyłączam telewizor. W Izraelu raczej nie rozmawia się o okupacji. Bo tam nikt tak naprawdę nie jest zainteresowany II wojną. W Polsce jest inaczej. Kilka lat temu przyjeżdżałam do Polski na miesiąc. Teraz już na pół roku. I kto wie, czy nie osiadę na stałe – kończy swoją opowieść Danuta Lis.

Żyd nie Żyd

Tomek Prot urodził się w 1930 r. Mieszkał z matką i siostrą na Bielanach w Warszawie. Ojciec, dr inż. Jan Prot, był dyrektorem naczelnym fabryki broni w Pionkach pod Radomiem. Przyjeżdżał do domu raz na tydzień albo i rzadziej. Rodzice przeszli na katolicyzm i nie widzieli powodu, by mówić synowi, że są Żydami. Matka wywoziliła się



Tomasz Prot

Fot. M. Wyrwich

z rodziny Dajchesów, mieszkających w Krakowie już pod początku XVII w. Ojciec pochodził z żydowskiej rodziny Protów, również od dawna osiadłej w Polsce. Chłopiec dowiedział się, że jest Żydem w ostatnie wakacje przed wojną od swoich kuzynów, którzy przekonywali go: „Skoro my jesteśmy Żydami i twoimi kuzynami, to i ty musisz być Żydem”. Ale i tak nie bardzo rozumiał, jakie to może mieć znaczenie dla jego dziecięcych zabaw.

Tomek był dumny z ojca, bo już w pierwszej klasie mógł się chwalić, podczas obchodów 11 listopada 1938 r., że jego ojciec był legionistą, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, dosłużył się stopnia majora i przez jakiś czas pracował w sztabie generalnym z marszałkiem Piłsudskim. W 1939 r., w czasie wakacji, mały Tomek był u ojca i zwiedzał fabrykę broni. Czuł się wtedy bardzo ważny.

– Byłem śniady. Miałem czarne włosy. Wyglądałem, nazwijmy to, orientalnie. W szkole miałem trochę przykrości – wspomina. – Z jednej strony byliśmy stuprocentowymi Polakami, a z drugiej – podejrzewano w szkole, że jestem Żydem, bo przyjaźniłem się z Żydówką.

Podczas bombardowań Żoliborza we wrześniu 1939 r. mama Tomka przeniosła się wraz z nim do śródmiejskiego mieszkania rodziny Wilderów – przed wojną znanych polskich antykwariuszy. Następnego dnia bomba uderzyła w kamienicę, w której mieszkali, i zawałiła część mieszkania. Zginęła Elżunia, rówieśnica Tomka, która bawiła się w sąsiednim pokoju.

– Wtedy poczułem tę straszną groźbę wojny – mówi Tomasz Prot. – Wracaliśmy do domu ulicą Miodową, przy której paliły się niektóre domy. To był dla mnie przerażający widok.

Po jakimś czasie Tomek dowiedział się, że Żydzi muszą schodzić z chodnika, kiedy idzie Niemiec. Był dumny, że jego to nie dotyczy, bo jest Polakiem, katolikiem i jest nieobrzezany.

– Mimo tej „polskości” mieliśmy fałszywe papiery na węgierskie nazwisko Koshut – opowiada. – Byłem ochrzczony, jednak mama nie chciała za bardzo ryzykować. Niemcy przecież wiedzieli, że sporo Żydów to katolicy, więc staraliśmy się nie wchodzić im w łapy. Byliśmy zaprzyjaźnieni z siostrami w Laskach i z ks. Kornilowiczem, który przygotował mnie do Pierwszej Komunii. Zamieszkaliśmy więc w Laskach i byliśmy tam do późnego lata 1941 r. Podobnie jak kilka, może kilkanaście rodzin żydowskich. Były tam też zakonnice pochodzenia żydowskiego. Później ukrywałem się w Warszawie, przyhołubiony przez panią Stefanowską mieszkającą na Żoliborzu. Nie wychodziłem z domu. Bała się o mnie okropnie, bo jej dzieci działały na konspiracji. Przynosiły jakieś podziemne gazetki. Zginęły w czasie Powstania Warszawskiego.

Od 1941 r. kolejnym miejscem ukrywania się Tomka był internat zorganizowany dla dzieci oficerów przez Radę Główną Opiekuńczą. Po powstaniu w getcie matka coraz bardziej się bała, że mogą zostać zadenuncjowani. Postanowiła więc ukryć syna w podwarszawskim sanatorium, gdzie również przebywały inne żydowskie dzieci. I tak, wciąż przenosząc się i ukrywając, dotrwali do Powstania Warszawskiego.

– Pod koniec wojny mój lęk o siebie, czyli chłopaka, który nie do końca wie, czy jest Polakiem, czy Żydem, powodował, że odczuwałem groźbę ściganego – opowiada Tomasz Prot. – Byłem bardzo religijny. Wielokrotnie modliłem się: „Panie Boże, jeżeli mam zginąć, to nie jako Żyd”. Wydawało mi się, że „śmierć żydowska” jest gorsza od „śmierci polskiej”. Oczywiście, najchętniej bym chciał zginąć w walce z Niemcami, a nie być przez nich zabitym, ot tak, na ulicy... No, jak Żyd... Wolny i dumny ze swego polsko-żydowskiego pochodzenia poczułem się dopiero w czasie Powstania Warszawskiego, kiedy przygotowywaliśmy powstańcom jedzenie – podkreśla Tomasz Prot.